TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie......$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii......$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 40. Chicago, Ill., Czwartek, 6-go Października, 1898. Rok XII.

Amalunga czyli córa puszcz.

Opowiadanie z czasów wojen pomiędy Europejczykam i : Ameryce Północnej.

(Ciąg dalszy)

Była to piękna, prześlicznie zbudowana postać. Piękną twarzyczkę ujmowały niby w ramki długie, krucze włosy, spadające aż ramiona.

Spojrzawszy na chorego, zobaczyła, że się już obudził. Widocznie przestraszona chciała się cofnąć i już drzwi przymykała.

— Jedno tylko słowo, bardzo proszę!— zawołał Henryk.

Wahając się, dziewczę nie wiedziało najprzód, jak sobie ma postąpić, wreszcie otworzyło znowu drzwi i weszło.

— Gdzież jestem? — zapytał Henryk.

— W domu trapera*) Franka.

— A jakim sposobem się tu dostałem?

— Ojciec mój znalazł cię przy ognisku bezprzytomnego.

— A któż mi ranę opatrzył?

— Uważał, żeś był ukąszony od węża — rzekło dziewczę nieśmiało — dla tego przyłożyłam znane mi lekarstwo. Bądź spokojny, lekarstwo jest pewne i niezadługo wyzdrowiejesz.

— Dziękuję ci moje dziecko — rzekł kapitan i wyciągnął do niej lewą rękę — skoro wyzdrowieję, sowicie cię wynagrodzę.

Dziewczę się zamroczyło.

— Ojciec mój jest traperem — rzekło chmurnie — i żadnej nagrody nie potrzebuje. Co uczynił, każdy uczynić powinien.

Kapitan się zląkł, widział bowiem, że popełnił w oczach dziewczęcia grubijaństwo. Uważał ją więcej za Indyankę, aniżeli za dziewczę z pewnem wykształceniem, już dla tego samego, że go bez ceremonii "ty" tytułowała. Widocznie się pomylił i w powierzchowności i w charakterze. Trzeba więc było złe naprawić.

— Nie mówiłem — rzekł — o nagrodzie pieniężnej, tylko o wdzięczności.

Dziewczę nic na to nie odpowiedziało,

*) Trapper, angielski wyraz oznaczający myśliwca północnej Ameryki, który utrzymuje się ze sprzedaży skór bobrów, bawołów, jeleni i innych zwierząt.

tylko zajęło się porządkowaniem sprzętów w obszernej izbie.

— Jak ci imię? — zapytał Henryk, aby rozpocząć przerwaną rozmowę.

— Amalunga—odrzekło dziewczę krótko.

— Amalunga? — zapytał zdziwiony Henryk — nie znam takiego imienia.

— Bo też to imię indyańskie — odrzekło dziewczę.

— Imiona indyańskie — ciągnął dalej Henryk — mają zwykle znaczenie. Co znaczy więc Amalunga?

— Co znaczy? — odrzekło dziewczę — znaczy tyle co "Córa puszcz".

— Ach! bardzo piękne imię! Ale zkąd to, że masz imię indyańskie, kiedy ojciec twój jest traperem?

— Matka moja była Indyańską, ze szczepu Komanszów, i dla tego dał mi ojciec takie imię.

Amalunga zajęła się znowu porządkowaniem, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł do izby wysoki, prawie olbrzymi mężczyzna. Długa broda spadała mu na piersi, a na sobie miał odzienie ze skóry łosiej, kroju pół indyańskiego pół europejskiego.

— Jakże z tobą, kapitanie — zapytał bez dalszej ceremonii.

— Dobrze — odrzekł Henryk — myślę że wam się długo naprzykrzeć nie będę.

— Zadziwiłem się — mówił dalej traper — że tu na puszczy znalazłem angielskiego kapitana. Wprawdzie wczoraj wpadł mi ręce przepyszny rumak, ścigany od wilków; więc zaraz mi na myśl przyszło, że się komuś musiało wydarzyć nieszczęście.

— Ach! — zawołał Henryk — mój Hektor ocalony.

— Był też wielki czas — ciągnął dalej traper — że ja i Amalunga uwinęliśmy się z wilkami. Koń uciekając instynktowo chronił się do mieszkania ludzkiego. Wpadł tedy do parowu, w którym stoi moja chata i zmierzał na podwórze. Ale widocznie nadto był słaby, więc runął jeszcze w dosyć znacznem oddaleniu, i już wilki miały się na niego rzucić, kiedyśmy im weszli w drogę. Biedne zwierze ma pełno znaków sparzelizny, zapewne kapitanie odbyłeś, dziką, szaloną jazdę przez pożar stepowy. Cóż cię do tego spowodowało.

— Indyanie mnie ścigali! — odrzekł Henryk.

— Indyanie? — wykrzyknął traper i urwał.

Na jego twarzy widoczne pokazało się pomięszanie. Utopił wzrok w ziemi i chwilę zdawał się coś głęboko rozmyślać.

— Jakiego szczepu byli ci Indyanie? — zapytał po chwili.

— Zdaje mi się — odrzekł Henryk — że to byli Komansze.

— Tem gorzej dla nas — zawołał traper — gdy te właśnie szatany czerwone okolicę naszą przebiegają... Jednakże mam nadzieję, że chaty mojej nie odkryją.

— Ale przecież po wzbijającym się dymie z domu — zauważył Henryk — mogą i chatę odnaleść. Dym już niejednego zdradził.

Traper się rozśmiał

— O to się nie obawiam — rzekł — i jeźliby innego przypadku nie zaszło, mogę spać spokojnie. Chata moja stoi w parowie zasłoniętej górą, drzewami olbrzymiemi, których gałęzie nawet wody deszczowej nie przepuszczają. Mieszkam już tu lat piętnaście, a nie widziałem na oczy żadnego czerwonoskorego, to jest przynajmniej w bliskości mej chaty. Spodziewam się więc, że i tym razem wolnym będę od ich widoku... Ale teraz kapitanie śpij. Nim bardziej się będziesz ochraniał, tem prędzej wstaniesz... Amalunga, Pójdź ze mną.

Po tych słowach wyszli oboje, a Henryk pozostał sam ze swemi myślami.

— Dziwni ludzie — myślał sobie Henryk — ich zgiełk światowy wcale nie obchodzi. Żyją sobie tu na puszczy w samotności, i prowadzą życie bez potrzeb aż za wiele, i nim wyżej stoimy, tem jesteśmy uboższi, bo tem więcej potrzeb uczuwamy. Rozlewany krew wzajemnie o urojoną własność, o urojoną sławę. Jesteśmy poddanymi i z tego poddaństwa nawet się chlubimy. Jesteśmy niewolnikami nietylko możnych osób, ale własnych naszych potrzeb. Tu zaś jest spokój, jest bogactwo, bo tylko ten bogaty, kogo starczy na swe potrzeby, a więc im mniej ma tych potrzeb, tem bogatszy. Tu jest cisza, a we świecie zgiełk; tu jest pokój, a we świecie niepokój; tu jest zadowo-

lenie, a we świecie nienawiść, zazdrość i zemsta.... O, jak szczęśliwi jesteście wy w oczach świata ubodzy, a jednak tak bogaci ludzie!...

IV.

Od czasu, kiedyśmy po raz ostatni widzieli Henryka, minęło już kilka miesięcy. Henryk przyszedł całkowicie do zdrowia i jego koń także przyszedł do szyku.

Dziwna jednak rzecz, że Henryk nie mógł jakoś chaty Franka opuścić. Zabierał on się wiele razy, wiele razy termin odjazdu naznaczał, ale kiedy ten termin nadszedł, zawsze znalazł się jakiś powód do odłożenia znowu terminu na czas późniejszy.

Nic dziwnego, jego wielki świat już nie ciągnął, za to Amalunga przykuwała go do samotnej chaty na puszczy. Nie było mu tam wcale nudno, bo z Amalungą bijał bawoły, czatował na jelenie i strzelał nadźwiedzie. Kiedy tak z nią porówno sadził przez rowy, strumienie lub kłody drzew odwiecznych, zdawało mu się, że pędzi najszczęśliwsze życie.

Amalunga była prawdziwą córą puszcz. Na swym mustangu nie zadrżała, kiedy ten w śmiałym skoku przesadzał przepaście. Ručnica jej nigdy nie chybiła celu, a oko jej w oddaleniu rozeznawało przedmioty.

Amalunga była skończonym strzelcem, wybornym jeźdźcem, a przytem piękna, jak anioł rzeźbiony. Nie dziw więc, że Henryk wynajdywał tyle powodów na opóźnienie swego odjazdu.

Była ona dumną ojca. Henryk uważał, że nieraz Frank otarł cichą łzę, gdy o przyszłości Amalungi przyszło do mowy.

W końcu Henryk postanowił na zawsze pozostać na puszczy, pod warunkiem, że Amalunga odda mu swą rękę. Ale czy Amalunga na to przystanie? To była sprawa nader tajemnicza, gdyż Amalunga przez tak długi czas słówkiem, ani czynem nie okazywała Henrykowi cieplejszego uczucia. Zdawało się, że jej serce płonie tylko dla szlachetnej wolności to na puszczy, to na stepie. Wprawdzie widziała go chętnie przy swym boku, rada była, gdy jej towarzyszył, a nawet bywało, że go do tego wezwała, ale nic mu nie dawała nadziei, że kiedykolwiek jej serce całkiem posiędzie.

I do Franka przywiązał się Henryk. Otwarty, szczery charakter trapera wywarł na niego wpływ nie mały.

Szczerość bowiem i otwartość ma swoje dwie strony. Są ludzie, którzy w tem uważają szczerość, i otwartość, że bliźniemu swemu wytykają błędy, wszędzie go pouczają, ganią wszystko a rzadko pochwalą. Sami zaś zamknięci są w sobie i do wnętrza swego nie dopuszczą wzroku żadnego człowieka. Ta skrytość względem siebie, a źle pojmowana otwartość względem bliźniego prędzej odstręczyć, aniżeli przyciągnąć może. Prawdziwa szczerość i otwartość polega na tem, że pozwala się zarazem poznać swój własny charakter. Nikogo z gruntu serca szanować nie można, jeźli się nie pozna jego dobrego charakteru. Powierzchowność ludzi, bo ludzie z powierzchownemi błędami mogą być jeszcze wspaniałego, szlachetnego charakteru.

Henryk poznał taki szlachetny charakter Franka i umiał osądzić wspaniałą duszę, która się pod skromnem ukrywała odzieniem. Zatem nie przywiązał się do jego powierzchowności, tylko do jego wewnętrznej wartości, a takie przywiązanie jest stałem i mocnem.

Dzień był przepyszny. Frank i Henryk wybrali się na bawoły, które całą gromadą z północnych stron przybyły na pastwisko. Step wypalony przez Indyan lśnił się prześliczną zielonością, a zwierza było co niemiara.

Polowanie udało się przewybornie. Kilka bawołów leżało zabitych, a ściągnione z nich skóry obiecywały niemały zysk. Już nad wieczorem dopiero wracali nasi traperzy do mieszkania.

Jadąc zwolna, umyślił Henryk odkryć się Frankowi. Powiedział mu więc otwarcie, że tylko dla Amalungi tak długo tu przebywa i dla niej chciałby tu na zawsze pozostać. Jednakże ma obawę, czy Amalunga zechce przystać na jego życzenie, ponieważ dotąd nic tego nie wskazuje.

Frank wysłuchał Henryka i ani się nie zdziwił, ani też ucieszył. Twarz jego ani drgnęła i pozostała nieruchomą.

— Amalunga — rzekł po chwili namy-

słu — jest dziwnem dziewczęciem, prawdziwy obraz jej matki, która była córką jednego z naczelników szczepu Komanszów. Naczelnik ów do dziś dnia mnie przeklina, że córka jego poszła za mnie. Amalunga ma od swej matki naturę niezależną, samodzielną, odemnie zaś ma wykształcenie europejskie. I ja w Europie nie byłem traperem! Po śmierci mej nieodżałowanej żony osiadłem tu sam w tej chacie z małą jeszcze Amalungą. Długie wieczory spędzałem na uczeniu mego dziecka pisania i czytania. Kiedy zaś otwierała się pora polowania, Amalunga porówno ze mną ścigała bawoły, strzelała jelenie. Na ten sposób ma Amalunga odemnie wychowanie europejskie, a po matce krew indyańską. Jest ona dumą moją, skarbem moim. Tobie, Henryku powierzyłbym ten skarb, ale.... Jesteś mężczyzną, postaraj się o jej serce, a moje zezwolenie masz już dzisiaj.

Kiedy Henryk wyrażał swe podziękowania, dojeżdżał właśnie do parowu, gdzie stała chata. Nagle Frank zatrzymał konia.

— Na Boga! — wykrzyknął przerażony tu musieli być Indyanie.

Zeskoczył co prędzej z konia i począł pilnie badać ślady wyciśnięte na ziemi.

— To byli Komansze! — zawołał drżącym głosem dosiadając konia.

Cwałem puścili się do chaty. Daleko to nie było, a im się zdawało wiecznością. Już są przy chacie... nie, nie przy chacie, ale przy zwaliskach. Chata była zwalona, a ziemia na około zdeptana.

— Wielki Boże! — zawołał zrozpaczony Frank — Komansze tu byli i zniszczyli wszystko! Cóż się stało z Amalungą? Czy ją zamordowali?

Również przerażony Henryk nic na to nie odpowiedział, tylko przedsięwziął poszukiwania pod zawalonemi belkami. Skończywszy poszukiwania odetchnął wolniej... trupa Amalungi nigdzie nie znalazł.

— Amalungę uprowadzono — rzekł do trapera, który nieruchomy, jak skamieniały stał z wzrokiem wlepionym w zwaliska.

Ostatnie słowa Henryka go zbudziły.

— Biada nędznikom! — krzyknął — jeźli memu dziecku wyrządzą krzywdę! Jeszcze czuję siłę w sobie, jeszcze moja ręka zdoła setki tych czerwonych szatanów wyprawic do piekieł, jeszcze we mnie tkwi ta sama potęga, która mi zjednała pomiędzy Komanszami przydomek "ducha piorunów!"

Po tych słowach nastąpiła w nim całkowita odmiana. Spokojnie i z rozwagą zbadał ślady, które Indyanie pozostawili.

— Musiało ich być około dwieście — rzekł po chwili — pociągnęli na północy zachód ku górom Skalistym i Amalungę z sobą uprowadzili.

Nagle Henryk uskoczył w bok i podniósł cóś ze ziemi.

— Oto karteczka zapisana — zawołał.

— Czytaj głośno — rzekł Frank — ja się obawiam.

Daniel przeczytał:

"Indyanie" mnie napadli i zabrali ze sobą. Zdaje mi się, że wracają z rozbójniczej wyprawy na Meksyk. Obchodzą się ze mną dobrze. Ciągną w stronę północną.

Amalunga."

Frank odetchnął. Wyprostowany ścisnął silniej kolbę swej kentuckiej strzelby, spojrzał ku północy i zawołał:

— Pójdę! za nimi, a choćby mnie to życie kosztować miało.

— I ja pójdę! — rzekł Henryk stanowczo.

— Dobrze. spodziewałem się tego — odrzekł Frank — widzę teraz, że córkę mą prawdziwie kochasz, gdyż nasza wyprawa nie jest bez niebezpieczeństwa. Jedźmy, konie nasze jeszcze nie nadto zmęczone, a prochu i kul mamy dosyć przy sobie.

W kilka sekund później już siedzieli obaj jeźdźcy w siodle i gnali w stronę zachodnio-północną, kierując się śladami Indyan.

Tu Henryk musiał podziwiać zręczność Franka we wynajdywaniu śladów. Nawet na najtwardszej ziemi umiał on w pełnem biegu swego konia rozróżnić ślady. Pędzili z wiatrem w zawody, bo miłość Franku do córki zdawała się nie tylko siłę jego pomnażać, ale czas czynić mu dłuższym. Był on jakby przemieniony znikła jego dawna spokojność, a z całej posfawy był ogień niecierpliwości. Ustawicznie wyprzedzał Henryka i koniowi swemu nie dał ani chwili wytchnienia.

Tymczasemn co zapadła. Księżyca wprawdzie nie było, ale gwiazdy tak pięknie świeciły, że okiem daleko można było zasięgnąć. Mianowicie bowiem w południowych stronach gwiazdy są piękne i daleko jaśniej świecę aniżeli w naszych północnych stronach. Powodem do tego nie tylko czyste powietrze, ale i gwiazdy są inne, oprócz naszych widzą jeszcze inne, których my dla wypukłości ziemi widzieć nie możemy. Jak my mamy grupy gwiazd, np. wielki wóz, baby, kośniki i inne, tak oni tam mają do tego tak zwany krzyż południowy, który pięknością swoją podobno wszystko inne grupy gwiazd przechodzi.

Zdala widać było grążek drzew, do którego nasi jeźdźcy skierowali konie. Byliby chętnie jechali jeszcze dalej niecierpliwość pchała ich dalej, ale konie nie mogły już sprostać życzeniom swych panów. Okryte pianą, zresztą głodne, wolniały coraz bardziej.

Skoro więc przybyli do owego lasku, puścili je wolno na trawę, a sami w ukryciu pomiędzy drzewami rozpalili ognisko i sami strudzeni legli na miękkiej murawie.

Długo, długo nie przemówili do siebie ani słowa, każdy był własnemi zajęty myślami. Frank mianowicie smutny, ponuro patrzał w trzaskający płomień i od czasu do czasu zgrzytnął zębami.

Miał też słuszny powód do tego. Znał on dokładnie zwyczaje Indyan, mianowicie Komanszów. Widział więc, że przy podziale łupów Amalunga dostanie się jednemu z nich jako niewolnica, a wtedy los jej byłby okropnym.

Wreszcie pierwszy Frank przerwał milczenie.

— Dałby Bóg, aby jej Tlaskala nie poznał.

Henryk spojrzał nań zdziwiony, nie rozumiejąc, coby to miało znaczyć.

— Tlaskala? — rzekł pytająco — co to za Tlaskala? i cóż tu ma poznanie za znaczenie?

Traper kiwnął głową kilka razy.

Tlaskala jest naczelnikiem Komanszów — rzekł po krótkiem milczeniu.

Ale i to było Henrykowi nie jasnem.

— I cóż ztąd? — rzekł — wiem przecież, że bez naczelników Indyanie nie przedsiębiorą wypraw.

— Dobrze — rzekł mu na to traper — ale wiedz młodzieńcze, że stary Tlaskala jest ojcem matki.

— Ach! — zawołał zdumiony Henryk, i zerwał się na równe nogi — teraz jestem spokojny i życzyłbym sobie, aby ją poznał.

Traper strząsnął głową z nieukontentowaniem.

— Siadaj, młodzieńcze — rzekł — i posłuchaj, co ci powiem, a innego będziesz zdania.

Może być, że Henryk trapera nie rozumiał. Usiadł wprawdzie, ale trzymając się pierwszej myśli, zapytał:

— Wie Amalunga, że Tlaskala ojcem jej matki?

— Na szczęście, nie wie!

— Jakto na szczęście? — rzekł zdumiony Henryk — przecież gdyby Tlaskala wiedział, że Amalunga jego wnuczką, toby nie pozwolił jej żadnej wyrządzić krzywdy.

— Tak myślisz, jak rozumiesz — odpowiedział mu traper. — Posłuchaj. Gdyby ją Tlaskala poznał, wziąłby ją jako do jego szczepu należącą, a wtedy już nigdybyśmy jej nie oglądali.

— Ale poczem mógłby ją poznać?

— Matka wytatuowała jej na lewem ramieniu węża, który jest znakiem rodziny Tlaskali. Gdy ów stary naczelnik znak ten ujrzy, pozna że jest członkiem jego rodziny. Przez pytania dowie się o mem nazwisku i zarazem dowie się, że Amalunga jest jego wnuczką.

— To słusznie — rzekł Henryk — że w ten sposób poznałby ją jako wnuczkę. Nie mogę jednakże pojąć, że oprócz uprowadzenia do siedliska szczepu, miałoby jej inne jakie jeszcze grozić niebezpieczeństwo!

— Nie znasz zwyczajów Komanszów — odpowiedział traper — dla tego tak mówisz. Otóż tak się rzecz ma: Amalunga już jest w odpowiednim dziewiczym wieku. Potrzebuje ją tylko pierwszy lepszy z naczelników Komanszów widzieć, chcieć ją za żonę, a według zwyczaju Komanszów Tlaskala nie miałby prawa odmówić. Pierwszy żądający ją naczelnik ma już prawo do niej. A co? czyż nie uważasz tego za niebezpie-

czeństwo?

— Ale Amalunga na to nie przystanie! — wykrzyknął Henryk rozpaczliwie.

— Nic jej to nie pomoże — odrzekł traper — bo kiedy Tlaskala nie ma prawa jej odmówić, jakże ona opierać by się mogła? Musi być posłuszną, bo tak wymagają prawa szczepu!

Henryk jęknął na te słowa i rzucił się rozpaczliwie na murawę. I Frank zamilkł. Dorzuciwszy drzewa na ognisko, położył się też obok ognia. Czy spał, tego Henryk wiedzieć nie mógł. Sam zaś był w bardzo smutnem usposobieniu. O śnie mowy być nie mogło. W myśli jego tworzyły się straszliwe obrazy, które go strachem przejmowały. Prewracał się mimowolnie z jednej na drugą stronę, nie żeby mu legowisku było za twardem, gdyż do takich noclegów był przyzwyczajony, ale że myśli nadto go trapiły i radby uciekł od obrazów, które mu wyobraźnia malowała.

O jak chętnie dosiadłby już konia i sam jeden wpadłby pomiędzy rabusiów, aby im odebrać to, co mu w życiu było najdroższem! Jednakże chwilowo było to niepodobieństwem, i ze swemi myślami, obawami i życzeniami pozostać musiał bezczynny aż do rana.

V.

Ledwo ranna zorza zrumieniła wschodnią część nieba, już nasi jeźdźcy dosiedli koni i cwałowali śladem dalej.

Dzień zajaśniał przepyszny. Słońce rozlało swe ożywcze promienie po kwiecistym stepie, a woń balzamiczna rozlała się w powietrzu.

Konie wypocząwszy przez noc, sunęły jak strzała, ledwo kopytami ziemi dotykając.

Zdala jeźdźcy ujrzeli szarzejące się z niebieską obwódką góry Skaliste, po za któremi znajdowały się wioski Komanszów. Więc mimo szalonej jazdy jeszcze konie swe poganiali. I mieli słuszny powód, bo jeśli Komanszów przed górami nie dopędzą, po za górami już dla nich nie ma nadziei odbicia Amalungi, chyba wpaść, pomścić się na Komanszach i własne życie położyć.

Frank, mimo że koń jego szalonym pędził cwałem, nie spuścił oka ze ziemi, aby się kierować śladami Indyan.

Nagle konia osadził na miejscu.

— Młodzieńcze! — zawołał — tam oto znów leży papierek.

Henryk natychmiast skoczył z konia.

— Czytaj, co tam stoi — rzekł krótko Frank — ale prędko.

Henryk przeczytał:

„Jeśli będziecie gonić Komanszów, coby Bóg dał, to karteczka ta oczów waszych nie ujdzie. Obchodzą się ze mną dobrze. Stary jeden naczelnik nie pozwala, aby się surowo ze mną obchodzono, i często dziwnym wpatruje się we mnie wzrokiem. Za to nie podoba mi się postępowanie dwóch naczelników. Jeden z nich jest rodowity Meksykańczyk, odrażający człowiek, którego nazwiska dotąd się dowiedzieć nie mogłam. Drugi jest przystojny wojownik, rodowity Komansza, nazwiskiem: „Białodrzew". Obaj starają się o mnie, i obaj uważają mnie za swą zdobycz. Bóg sam wiedzieć raczy, co się ze mną stanie. Postanowiłam sobie raczej umrzeć, aniżeli stać się łupem jednego lub drugiego. Stary naczelnik widocznie wziął mnie w swą opiekę. Ja z swej strony jestem zawsze przy jego boku, bo mam zaufanie do niego.

Amalunga"

Słowa te skłoniły obydwóch jeźdźców do tem większego pospiechu. W drodze umawiali się, w jaki sposób chcą uwolnienie Amalungi wykonać. Jednakże nie mogli chwilowo nic stanowczego postanowić, chyba jedynie to, że działanie swe muszą rozpocząć w nocy. Ale jak?

W końcu nareszcie mieli plan gotowy, ale plan nader ryzykowny. Oto jeden z nich miał się wśliznąć do obozu Indyan, a drugi czekać po za obozem z gotowemi końmi. Jak tego dokażą? trzeba było odczekać z postanowieniem do ostatniej chwili.

Nad wieczorem ujrzeli Indyan. Był to długi szereg jeźdźców

Frank z Henrykiem schronili się za pagórek, aby ich Komansze nie dojrzeli, a sami zaś mogli dobrze na wszystko dać baczenie, i mogli widzieć Komanszów obóz rozbijających. Uważali też że wczasie, gdy już szałasy były ustawione, dwóch Indyan opuściło obóz, widocznie w celu polowania. Każdy z nich puścił się w inną stronę. Oby-

dwaj jechali na mustangach i obaj byli uzbrojeni.

Frank natychmiast wprowadził konie w zarośla, znajdujące się na wzgórzu, albowiem się obawiał, aby przypadkiem jeden z owych jeźdźców nie zbliżył się do pagórka.

Uskuteczniwszy ukrycie koni, wyszedł do Henryka, i obaj teraz przypatrywali się owym dwom Komanszom, którzy tymczasem wyjechali na stęp, i jak się zdawało, zbliżali się jeden do drugiego.

— Jeżeli mnie oczy nie mylą — rzekł po małej chwili traper — to oto ten tam jeździec jest "białym". Siedzi on za prosto na koniu, czego Komansze nie umieją, a zresztą i ubiór jego zdaje mi się nie być zupełnie indyańskim.

Henryk wpatrzył się we wskazanego jeźdźca i uznał, że traper ma słuszność.

Osobliwszym sposobem zdawało się, że jeźdźcy wzajem się ku sobie zbliżają. Nagle galopem popędzili ku sobie i stanęli, oddzieleni tylko strumieniem. Henryk i Frank uważali że pomiędzy Indyanami wszczęła się kłótnia. Groźnie wznieśli obaj przeciwnicy rękę prawą do góry, a wtedy Indyanin wspiął swego mustanga, który odważnie przesadził strumień. Siła skoku była tak wielka, że mustang potoczył się i runął na ziemię przodem; w tej też chwili drugi jeździec błyskawicą stanął obok bezbronnego. Wzniósł wysoko tomahak, czyli topor, i silnem uderzeniem rozpłatał czaszkę swemu przeciwnikowi, który przewrócił się i spadł przez konia na brzeg strumienia. Zwycięzca kopnął jeszcze ciało jego nogą, wepchnął we wodę, a fale kręcąc trupem, uniosły nieszczęśliwego ze sobą.

Morderca, gdyż inaczej owego zwycięzcę nazwać nie można, dosiadł teraz swego konia i zwolna pojechał do obozu, gdzie się wmięszał pomiędzy krzątających się Indyan.

Chwilę stali nasi jeźdźcy w poważnem milczeniu.

— Oto jeden z owych haniebnych czynów — rzekł traper — jakich w tych puszczach wiele już widziałem. Tu nie ma praw, tu nie ma sędziego, tu nie ma sprawiedliwości. Ów łotr, który tak haniebnie przeciwnika swego zamordował, będzie bezwątpienia ze zimną krwią palił fajkę, kiedy zamordowanego będą szukali, i nic w jego twarzy nie zdradzi, że jego tomahak krwią jest zbroczony.

— Łotr, który tego naczelnika zamordował — odezwał się Henryk — wydawał mi się znajomym. Jego postać, jego koń nie są mi obcemi.

— Może być — potwierdził traper — że to jest jeden z owych odstępców, którzy pochodząc z rodziców europejskich, przeszli do Indyan. Są to najgorsi ludzie. Zwykle powrót do współziomków jest im odcięty, bo zwyczajnie są to rabusie, złodzieje, mordercy, którzy przed rękę sprawiedliwości chronią się w lasy i stepy. Tacy więcej jeszcze srożą się nad tymi, do których z urodzenia pochodzą.

W tem Henryk przypomniał sobie list Amalungi i zadrżał. Wewnętrzne przeczucie mówiło mu, że to byli owi dwaj, którzy się o nią starają, a teraz dla niej ów mordercy pojedynek odbyli. Chciał już swe myśli otworzyć Frankowi, gdy ten zawołał:

— Zjedźmy do strumienia i zobaczmy, co się dzieje z naczelnikiem. Może jeszcze nie zabity, może jeszcze żyje, może go uratujemy.

Ostrożnie opuścili swe schronienie i zbliżyli się do strumienia właśnie w tej chwili, kiedy woda ciało w to miejsce przyniosła.

Traper z podziwieniem przyglądał się Indyaninowi.

— Żyje rzekł — on żyje. Tylko Indyanin umie mimo tak ciężkiego zranienia, utrzymać się na wodzie.

Po tych słowach odwiązał swe laso i rozwinął je do rzutu.

Naczelnik, który dotąd leżał na wodzie piersiami do góry, i to tak, że tylko jego twarz i powierzchnią ciała po nad wodą, było widać, zatonął o jednę stopę głębiej i tylko ciemne zarysy ciała widne były w przejrzystej wodzie.

— To dziwnie — rzekł traper i zwinął swe lasso.

Henryk, który na to wszystko bacznie uważał, złożył swą broń na trawie i wskoczył w strumień, aby naczelnika wydobyć. Wartki strumień go porwał, ale rozepchnąwszy wodę silnemi ramionami, zdołał go wreszcie na ląd wydostać. Obaj teraz ująwszy nieprzytomnego, ułożyli go pod tuż stojącą wierzbą. Henryk przyniósł swą broń i zaczął wyżdżymać z wody swe rzeczy, a tymczasem traper zajął się rannym Indyaninem.

(Ciąg dalszy nastąpi)

FR. HOFFMAN.

WUJ I SIOSTRZENIEC

Z niemieckiego wydania

PRZEŁOŻYŁ

STANISŁAW KUNASIEWICZ.

Motto:
Kto w Boga wierzy, nie lekceważy
Jego przykazań.

(Ciąg dalszy.)

"Zeno oświadczył" ciągnął Mikołaj "że jeżeli go kiedykolwiek i ktokolwiek raz jeszcze miasto Gumał (nazwisko bowiem to, jest jego prawdziwem nazwiskiem) wołać będzie Zeno, całkiem pewnie rozwali mu głowę. Endymion nazwał go dzisiaj Zenonem, w następstwie czego poczęli się tłuc głowami, a jakkolwiek Zeno Endymionowi głowy nie rozwalił, tak go jednakże silnie wykułakował, że tenże obecnie leży słaby, a głowa wskutek tłuczenia tak mocno opuchła, że wygląda teraz jak największy arbuz.

"Zenoną wtrącić do psiarni i tam go trzymać przez trzy dni i trzy nocy o chlebie tylko i wodzie, a inny murzynom rozkazać, by go odtąd inaczej nie wołali, jak Zeno. Ja go tak nazwałem niechaj więc ten czarny rakarz nie waży się mruczeć, chyba że chce poczuć na grzbiecie razy twego harapa. Truteń tak! on chciałby fochy stroić! Czyż już gotów Mikołaju?"

"Jeszcze nie mój panie. Herkules przewinił także, przez nieuwagę bowiem strzaskał rękę pomiędzy walcami w cukrowarni. Szczęściem, że to lewa, i że kość naruszoną nie została."

"Chłostać go dopóty, dopoki krew nie tryśnie" zawołał oburzony pan Wanderstraten, wrząc cały od gniewu. "Herkules jest to jeden z najlepszych i najsilniejszych murzynów, przed niedawnem pochwaliłem go, a dziś z umysłu robi się ten pies kalcką. byle tylko w cukrowarni nie pracować."

"Tak a nie inaczej! Oni wszyscy mają jakiś wstręt do cukrowarni, i o wiele chętniej pracują dzień cały na polu, aniżeli godzinę w fabryce. Zresztą, jak tylko Herkules wyzdrowieje, będzie musiał w cukrowarni dalej pracować, ażeby zaś po raz drugi ręki niestrzaskał, oto ja przyrzekam mieć pieczę."

Przy tych słowach potrząsł dozorca swoim harapem, a dziki wzrok zdradzał widocznie, że grzbietu nieszczęśliwego Herkulesa, który obecnie wił się w najokropniejszych boleściach nie poszanuje.

"Prawdopodobnie skończyłeś już swój raport, zagadnął pan Wanderstaten, zapalając świeżo napełnioną, fajkę, którą mu w tej chwili podał murzyn, wraz z jarzącym fidibusem. "Jakto? jeszcze nie? Możeby więc już raz to zakończyć!"

"Mój panie!" odpowiedział Mikołaj, pochmurny zaś wzrok jego schmurzył się w tej chwili jeszcze bardziej, to o czem chcę obecnie mówić, nie powinni ci murzyni słyszeć."

"Wynoście się!" zawołał pan Wanderstraten do otczających go murzynów, i ręką wskazał na wchód do altany.

Czarni niewolnicy znikli w okamgnieniu, zadowoleni, jak się zdawało, że nareszcie z pobliża srogiego dozorcy oddalić się mogą, ten zaś począł mówić głosem zaledwie dosłyszanym:

"Mój Panie, każcie strzelby i muszkiety poczyścić, i wszystko co tylko do obromy służyć może, przygotować. W górach poczyna być gwarno, słusznie więc obawiam się, że już wkrótce nadleci tutaj nieprzyjaciel z lasów."

Wiadomość ta widocznie zaniepokoiła pana Wanderstraten, twarz pobladła mu i przeciągła się, co prędzej więc zapytał: "Skąd wiesz o tem," odpowiedział Mikołaj. "Pojedyncze tylko słowa, które podsłuchując, do uszów moich doleciały, niemniej zachowanie się niektórych z naszych niewolników, każą mi tego domyślać się, a zarazem was mój panie ostrzec już w tej chwili, by jutro nie było zapoźno Duch buntowniczy może nie zawładnął dotychczas wszystkimi naszymi niewolnikami, pewnem jednakże, że chwila ta groźna już niedaleką.

"A temu wszystkiemu nikt inny winien, jak tylko owi hultaje, co to pokryjomo zakradają się, by niewolników naszych uczyć czytać i pisać, a zarazem nauki religii chrześciańskiej udzielać! wołał pan Wanderstraten i począł dużymi krokami chodzić po altanie, zapomniawszy że nie osłonił nagich nóg ulubionymi pantoflami.

"O gdybym bodaj raz jednego z tych hultajów uchwycił!", wołał. Na co się przyda czarnym niewolnikom nauka czytania i pisania, na co poznanie prawdziwego Boga. Dosyć dla nich, jeżeli umieją sadzić, hodować i zbierać kawę i bawełnę, zaprawdę aż nadto dosyć! Ale tu przyłażą ci przek ... Boże przebacz, łasunie, bredzą tym pachołkom o wolności i równości, wten sposób szczują ich na panów, i zanim znajdziesz czas oglądnąć się, już iskra tli po plantacyach, a gdy ją jeszcze więcej roztlą, już przywiedli głupi lud ten do szaleństwa wówczas nieprzyjaciel nadchodzi z lasu z pomocą, i biada nieszczęśliwemu plantatarowi, jeżeli zawczasu nie postarał się o pomoc. Wyszukaj co prędzej posłańca Mikołaju! daj mu najlepszego konia z mej stajni i wyszli do Paramaribo. Niech oświadczy komendantowi najpiękniejsze moje ukłony i niech prosi, by sam przysłał co prędzej oddział wojska, o ile tylko może największy. Dalej Mikołaju, prędzej. Mecz zaczekaj. Innych posłów wysłał może do Amsterdamu i Wredensborgu, im więcej przybędzie żołnierzy, tem lepiej dla nas, tem bardziej jesteśmy bezpieczni, bo te psy z lasu nie znają żadnej litości, żadnego zmiłewania. A niewolników moich niezapomnij wziąść jeszcze więcej w kluby. Zabraniam każdemu wydalać się poza obręd plantacyi, a gdyby który z nich odważył się wyśliznąć w nocy, rozkazuje zastrzelić go bez wszelkiej litości jak psa. Oglądnij również łodzie z działami, które naszą plantacyę chronią od strony. rzeki. A niezapomnij również o nabiciu dział, każ poznosić proch i kule na łodzie, ażeby nas te czarne diabły, skoro z gór i lasów spadną, jak potok wezbrany, nie zastali nieprzygotowanych i nieumiejących sobie zaradzić. Dalej Mikołaju, dalej! czego stoisz, czegoś się zagapił? każda minuta czasu drogą jest, jeżeli, te czarne diabły z takimi noszą się zamiarami. Lecz zaczekaj jeszcze! niezapomnij również o palisadach, które nasz pagórek zamykają, oglądnij je i porób wszelkie naprawy, jeżeliby jakichkolwiek okazała się potrzeba, a teraz dalej, prędzej człowieku, nie gap się, nie stój, jakby ci nogi wrosły w ziemię.... Lecz zaczekaj! daj mi wygadać! czuwaj jeszcze więcej jak dawniej, a przedewszystkiem śledź każdy krok owych zakradających się misjonarzy. Niech będę przek.... jeżeli pierwszego z tych hultajów, którego pochwycimy, nie każę powiesić na gałęzi, aby innych od tego rodzaju wizyt odstraszyć! Czegoż stoisz Mikołaju? W tej chwili powinieneś być już za górami!"

Mikołaj pomruczał jeszcze jakichś kilka niezrozumiałych wyrazów, uczynił nareszcie wzrot w lewo i wyszedł z altany, aby spełnić swe mnogie rozkazy i zlecenia, pan Wanderstraten natomiast znużony długiem mówieniem a nadto przestraszony temi wiadomościami usiadł w swem miękkiem krześle poręczowem. Usiadłszy, złożył ręce na okrągłym brzuszku, a z piersi jego wydarło się westchnienie: "O gdyby już raz ten przeklęty Emeryk przybył! Nigdy bardziej nie byłby mi przydatnym, jak dzisiaj w czasie tych zamieszek, kiedy poczciwy plantator ani chwili nie może być pewnym swojego życia!"

—

II.
Siostrzeniec.

Widocznie chciały łaskawe nieba, które dotychczas bogatego plantatora wszędzie i zawsze wspierały, każde jego życzenie spełnić, po chwili bowiem rozsunęły się gęste zarośla, zacieniające ściany altany, a w progu ukazała się smiejąca, ładna, może tylko trochę zbytnio śmiała twarz ośmnastoletniego młodzieńca. Niebieskie oczy błyszczały filuternie z pod bogatych, jasnych kędziorów włosów, a koralowe usta uśmiechały się trochę szydersko gdy zawołał: "Oto jest Emeryk, panie wuju! Tutaj jest ów przeklęty młodzieniec, w prawdziwej postaci, osobiscie, i dla tego wszystko słyszał, o czem przed chwilą rozmawialiście i coście układali z surowym dozorcą niewolników. Zaprawdę wuju, nie byłbym był nigdy przypuszczał nawet, że spokojny plantator takie wojownicze zamiary mieć może, o jakich przed chwilą ze zdumieniem, lecz niedowierzając, dowiedziałem się. Ja chciałem zrobić wujowi, niespodziankę, tymczasem raczej mnie spotkała takowa. Tylko nie bierz mi tego za złe drogi wuju, żem dowiedział się o wszystkiem, zakończył młodzieniec, a rozsunąwszy jeszcze bardziej kwitnące gałązki, stanął tuż obok zmięsanego pana Wanderstraten. "Witam was w imię Boże w waszym piecu kucharskim, który Guyana nazywacie a tysiące ukłonów zasyła wam matka!"

W tej chwili, dopiero po tych słowach wróciło życie w pana Wanderstraten. Westchnął głęboko, pochwycił wyciągniętą ręką młodzieńca, uścisnął ją i zawołał z wielką serdecznością. "Witaj nam siostrzeńca! witaj po tysiąc razy w Surinam! Chodź młodzieńcze, niech cię przycisnę do mej piersi! Tak. Jak widzę wspaniałym jesteś chłopcem, smukły, silny, zdrów, podobny do mnię, kiedym przed czterdziestu laty tutaj do tego kraju przybył. A matka, moja kochana siostra Małgorzata jakże się ma, czy dobrze?"

"Podobnie jak ty wuju, tylko że nie tak wesoła, nie tak zadowolona," odpowiedział Emeryk a odpowiadając pochwycił za krzesło i usiadł wygodnie obok wuja, który widocznie cieszył się przybyciem śmiałego, łagodnego młodzieńca.

"Ale powiedzieć Ci muszę przedewszystkiem wuju, że matka w żaden sposób na odjazd mój zezwolić nie chciała i dopiewówczas (chociaż nie bez łez i bólu serca) zezwoliła, kiedy jej przyrzekłęm, że z ścisłą pewnością po trzech latach powrócę i jeżeli to tylko będzie możliwem i ciebie z sobą zabiorę. Tak wujaszku, serce jej krawiło się kiedym odjeżdżał; pojmujesz przecie jak to musi być boleśnem dla matki rozstawać się z synem na tak długi czas i to z synem, który miasto wyjeżdżać, powinienby być raczej podporą poczciwej, dobrej mateczce i rodzeństwu. Dla tego też w pierwszej zaraz chwili naszego poznania mój wujaszku, chcę ci powiedzieć, czego pragnę. Otóż pragnę, abyś wszystkie swoje plantacye, swoich czarnych niewolników i co tylko do tego należy, w ogóle wszystko co tutaj posiadasz sprzedał i powrócił ze mną do Europy. Trzy lata zostawiam ci na to czasu, nie potrzebujesz więc spieszyć się. Ukończymi sprzedaż rychlej tem lepiej. Matka wcale gniewać się nie będzie, jeżeli rok prędzej jak się spodziewa powrócimy, a tobie drogi wuju jakże ci miłem będzie to powietrze świeże, chłodne a również ogrzane słońcem po tym długim pobycie w tej łaźni. Nieba! ileto ja już niepociłem się przez tych kilka dni, odkąd stanąłem na tej ziemi! kroplami tego potu, które wylałem już w tym piecu kucharskim jadąc do ciebie, możnaby całe morze napełnić. Jeżeli więc tak dłużej potrwa, drogi wuju, cóż się stanie wtedy z twoim delikatnym kuzynkiem: zamieni się chyba w obłoczek z pary, który pierwszy powiew wiatru na wszystkie części świata rozwieje. A czegoś podobnego nie chciałbym się wcale doczekać, coś podobnego byłoby mi wcale niemiłem!"

"Tak tak, plec i bajaj dalej siostrzeniec!" zawołał pan Wanderstraten, zdziwiony wymową kuzyna swego. "Zaledwie przybył ten chłopczyna tutaj, a już prawi o sprzedaży i powrocie do Europy, jakby to było coś podobnie łatwego, jak ręką lub kijem machnąć. Z tego nic nie będzie mój chłopcze, nic z twoich projektów. W razie potrzeby sprowadzimy tutaj matkę twoją i całe twe rodzieństwo, lecz ja i ty, my obaj

razem pozostaniemy tutaj. Wolę bowiem w tym kucharskim piecu siedzieć, jak tam w Europie, w tej istnej lodowni. Lecz uspokój się chłopcze, uspokój! Na razie bowiem mamy o czemś ważniejszem pomyśleć i pogadać, jak o wyjeździe do Europy. W każdym razie, jeżelibym miał kiedyś sprzedać moje dobra, o czem wcale niemyślę, muszę je przedewszystkiem obecnie zabezpieczyć, i ocalić. Jeżeli nas jak powiadasz w rzeczy samej podsłuchałeś, więc wiesz, że krwi chciwy nieprzyjaciel ma względem nas złe zamiary.

"Cóż to za ludzie, ci krwi chciwi czarni"? zapytał Emeryk.

"Jakto, tego nawet nie wiesz chłopcze?" odpowiedział pan Wanderstraten. "A do kata, to jak widzę niewiele uczyłeś się w tej twojej starej Europie."

"My drogi wuju jesteśmy w Europie czemś innem o wiele ważniejszem zajęci, jak takimi prywatnymi sporami prowadzonymi na odległym krańcu drugiej półkuli," odparł Emeryk. "Lecz skoro się już tutaj znajduję, pragnę więc i dowiedzieć się o istotnym stanie rzeczy, co do tego krwi chciwego nieprzyjaciela, przyjaciół bowiem twoich, jak sądzę rychło będę mógł sam osobiście u ciebie poznać."

"Więc powiem ci Tym nieprzyjacielem są to zbiegli z różnych plantacyj czarni niewolnicy, którzy kryją się w lasach po takich schowkach i norach, do jakich człowiek z obawy nie dotarł jeszcze nigdy," poczuwał pan Wanderstraten. "Tam siedzą, prowadząc życie podobne życiu dzikich, za pożywienie służy im zwierz leśny, którego zatrutemi strzałami zabijają. Otóż oni to wypadają od czasu do czasu z tych schowków i nor, aby złupić i zrabować to wszystko, co tylko wzrok ich chciwy obaczy, a silne plecy unieść podołają. Straszne rzeczy opowiadają o tych potworach, i oby na nas tylko Bóg w łasce swej ustrzegł, abyśmy nie potrzebowali bliższej z nimi robić znajomości."

"A widzisz drogi wuju, czegoś podobnego nie potrzebowałbyś obawiać się w naszej starej, spokojnej Europie!" mówił siostrzeniec. "Tak, tak, ty się powoli namyślisz, i zabrawszy mnie i swoje skarby odpłyniesz z powrotem do Europy. O tem jednak potem. A dobry żołnierz niebyłeżby zdolny, nie potrafiłby rozbić w puch tę hołotę?"

"Jeżeli się pojawi na równinach i nas całkiem nieprzygotowanych nienatrafi, natenczas najczęściej odchodzi z niczem, mimo całej swej waleczności i tych długich, zatrutych strzał, po których każde, choćby najlżejsze skaleczenie staje się śmiertelnem, jeżeli niezwłocznie użyte nie zostaną środki zaradcze, których niestety nikt nieznana, tylko te przeklęte psy czarne. W górach napaść ich i zniszczyć niepodobna, ani też stamtąd wygonić, tyle tam schowków, kryjówek i nor, przed któremi oby nas nieba łaskawe na zawsze uchroniły. A tak ten straszny miecz wisi bezprzestannie nad naszemi głowami i każdy chwili spodziewać się możemy napadu tych dzikich hord chciwych łupu i krwi. Wprawdzie dotychczas hultaje ci oszczędzali mnie i moje plantacye, obawiam się jednakże czy cierpliwość ich już się nie wyczerpała."

"Jest to nieszczęście, wuju, ale nieszczęście któregoście sami przyczyną, powinniście więc je i bez szemrania znieść, "odpowiedział poważnie siostrzeniea. "Gdybyście byli z tymi biednymi, czarnymi niewolnikami, obchodzili się byli po ludzku, niebyliby ztąd uciekali w góry i lasy, ani też dzisiaj grozili wam zemstą i zagładą. Zresztą zobaczymy, poczekajmy, przekonamy się, może jeszcze nie jest tak źle, jak się wam wydaje, a w najgorszym razie, będziemy się bronić, I wojska niepotrzebaby, gdyby niewolnikom, twoim zawierzyć można było, a zapasy prochu wystarczyły. Kula karabinowa sięga przecież dalej: jak strzała zatruta to też i w ten sposób moglibyśmy ich zdala od nas zatrzymać.!"

"Otóż oto właśnie chodzi" odpowiedział pan Wanderstraten, żałośnie skrzywiony. "Lecz możnaż im zawierzyć? Skoro usłyszą wycie czarnych swoich braci, połączą się z nimi: przejdą do nich a osobliwie w dzisiejszych czasach, kiedy mimo wszelkich ostrożności z naszej strony biali misyonarze co chwila potajemnie wślizgają się do chat czarnych niewolników, i tam im naukę religii chrześciańskiej udzielają. Żaden, choćby

najsurowszy zakaz, żadna, najostrzejsza kara nieskutuje. Podejrzywając tylko, że te czarne psy zasadami nowej nauki już się przejęli, kazali niektórzy plantatorowie swoich niewolników chłostać, zakuć w kajdany, dręczyć, nadaremnie jednakże! Hultaje rozzuchwalili się potem jeszcze bardziej, a przed ośmiu dopiero tygodniami zburzyli plantacyę bogatego pana Wandermeilei własni jego murzyni, pałac rozwalili, a nieszczęśliwego Wandermeilena zamordowali. Od tego czasu postępuję z moimi daleko ostrzej i zaprawdę powiadam ci, gdybym tylko zauważył, że którykolwiek z nich więcej wie, jak powinien, jakem Wanderstraten, na pierwszej najbliższej gałęzi kazałbym go powiesić. A misyonarza tuż obok niego gdybym tego hultaja tylko pochwicić mógł!"

Młody Emeryk potrząsł głową na to i rzekł, śmiało. "Wasze wszystkie rozumowania są do niczego kochany wuju! Nie weź mi tego za złe, wyznać ci jednak muszę otwarcie, że wy dobrymi jesteście plantatorami, lecz złymi chrześcianami i jako tacy błędnemi drogami, manowcami chodzicie. Miasto to czynić coście powinni, to jest: oświecać tych biednych, nierozsądnych czarnych, miasto samemu starać się oto, aby z nich dobrych i cnotliwych chrześcian porobić, przyprowadzacie ich surowością swą do rozpaczy. Wasza srogość, wasze tyraństwo, nie zaś poznanie prawdziwego Boga, wypędza tych nieszczęśliwycp w lasy i pobudza do zemsty. Światło religii chrześciańskiej może ich tylko dobrymi i szlachetnymi uczynić, co więcej nie tylko takimi, ale i prawdziwie wdzięcznymi dla tych panów, którzy łagodnie, i jak przystało obchodzą się z nimi. Otóż wuju posłuchaj mej rady i spróbuj z dobrocią. Zaręczam, że nie pożałujesz."

"Młodzieńcze, ty tego nierozumiesz," odparł pochmurnie wuj. "Harap musi wisieć nad głowami tych leniwców: w przeciwnym bowiem razie żywcem połkną nas wszystkich. Gdyby się jeszcze nie lękali harapa. katuszy i śmierci wśród piekielnych mąk, ani godziny jednej nie byliśmy pewni naszego życia. Ale dosyć już siostrzeńcze! Wieczór poczyna być chłodnym, noc nadchodzi, a więc i my chodźmy do mieszkania, tam o weselszych rzeczach pogadamy, o matce twej, kraju twym rodzinnym, który nie potrzebuje kłopotać się takimi krnąbrnymi, leniwymi, czarnymi hultajami."

Po tych słowach podniósł się pan Wanderstraten z krzesła i skierował kroki swoje ku domowi, przechodząc szerokie, żwirem wysypane drogi. Emeryk zamyślony szedł tuż obok niego, i jakby sam do siebie szeptał: "Jaki to kraj, a jacy w nim ludzie! Jaki skwar słoneczny, a jakie serca zlodowaciałe, które nawet bliźnim swoim pociechy prawdziwej religii nie dozwalają: nie chcą pozwolić, aby ci biedni, ciemiężeni murzyni miłościwego i miłosiernego Boga poznali, który jeden w nieszczęśliwem tem położeniu wspomódz ich może. Ale tak dłużej nie będzie, skoro ja tylko tutaj zostanę, i serce mego wuju pozyskam. On jest dobry i uprzejmy z natury, a li tylko zły przykład i obawa przed malowanym strachem, zrobiły go tak srogim i podobnym tym innym plantatorem, którzy widocznie zapominają, że ci pognębieni, poniżeni, katowani czarni niewolnicy są również ludźmi i braćmi ich wobec Boga w niebiesiech. Tylko cierpliwości! Inaczej tu być powinno, i być musi, a że nie gorzej, to niezawodnie!

III.

Herkules.

Zajęty myślami i planami, mającymi na celu polepszenie doli, biednych murzynów, zbliżył się Emeryk w towarzystwie wuja do pałacu, i już chciał w ślad za nim przekroczyć próg, gdy doleciał do uszów jego jakiś tłumiony jęk, rozlegający się w odli. Jęk ten wstrzymał krok jego i przykuł do miejsca. Wytężył słuch i niebawem usłyszał po raz drugi tenże sam głos, najniezawodniej wydawany w bólach i katuszach. Miasto więc iść dalej, zawrócił Emeryk co prędzej i pobiegł w kierunku skąd głos zdawał się dolatywać, niepomyślawszy nawet o tem, że należałoby może zapewnić sobie pomoc wuja, który przed chwilą wszedł już do pałacu, albo też nagłe oddalenie się wytłumaczyć.

W kilku sekundach stanął przy płotach, z poza których wyglądały chaty czarnych niewolników, w okamgnieniu przeskoczył płot,

poczem chwilkę jeszcze biegnąc obaczył obszerny plac, oświetlony pochodniami, a przedstawiający przerażający widok. Na środku stał wkopany w ziemię słup, a słup ten okoliło około sto murzynów, przybliżył się jeszcze bardziej i obaczył jak jakiś biały, o ile mu tylko sił starczyło katował przywiązanego sznurami do tego słupa młodego, słusznego i silnia zbudowanego murzyna, którego nagie ciało pod razami harapa drzało i trzęsło się. Po każdym wymierzony razie wytryskała struga krwi z czarnego do aksamitu podobnego ciała męczonego niewolnika, prawdopodobnie nie o wiele starszego od Emeryka. Wskutek okropnych bolów, jakich doznawał za każdem uderzeniem harapa wydzierał się z piersi jego jęk, który obudził w sercu Emeryka prawdziwą, szczerą litość. Piorunującym wzrokiem spojrzawszy na strasznego dozorcę, począł go upominać aby zaprzestał; gdy jednak upominania nie skutkowały, przyskoczył, wydarł harap z ręki i tak silnie ciął go tym samym harapem w twarz, że tenże kilka kroków w bok się zatoczył.

"Szkaradny człowiecze!" wołał Emeryk w najwyższym oburzeniu. "Jak będziesz usprawiedliwiać się przed Bogiem, żeś tego murzyna, stworzonego podobnie jak i ty na podobieństwo boskie tak okropnie katował? Odwiążcie nieszczęśliwegq natychmiast!"

Murzyni pośród których Emeryk pojawił się jakby jaki anioł opiekuńczy spieszący z pomocą, rzucili się po tych słowach co prędzej do słupa i poczęli sznury, którymi ów katowany niewolnik był przywiązany rozcinać i rozrywać, a gdy uwolniony z tych więzów z wielkiego bolu i znacznej utraty krwi, zemdlał i na nogach utrzymać się niemógł, podtrzymali go swemi rękami. Podczas tego miał czas odetchnąć srogi dozorca, a odzyskawszy dawną przytomność, wściekły od złości podniósł kułak na Emeryka, aby tego młodzieńca, który go w obecności tych niewolników obraził, za zbytnią jego śmiałość ukarać. Kułak wycgnięty i silne ramie dozorcy nie zdołały jednak wzniecić choćby najmniejszej trwogi w Emeryku: nie cofnął się też ani o krok z miejsca, na którem stał, spojrzał ostro na dozorcę, a w końcu przemówił: "Precz nędzniku! Jutro rano w obecności mojego wuja pana Wanderstraten zdasz mi rachunek, a biada ci, jeżeli się przekonam, że katowałeś tego nieszczęśliwego li tylko dla zaspokojenia swej chuci tyrańskiej."

Na samo wspomnienie nazwiska wuja, opadł natychmiast wyciągnięty kułak, a wściekły i odgrażający się dozorca, począł łasić się i pełzać około młodzieńca, który zaledwie pojawił się, a już tak śmiało rozkazywał w plantacyi pana Wanderstraten.

"Przebacz mój panie! błagał, chyląc się przed młodzieńcem (jakkolwiek głos jego zdradzał jeszcze niedawną wściekłość) przebacz proszę; żem się odważył wyciągnąć rękę na kuzyna mego najłaskawszego pana! Ale jam was nie znał, a wyście tak niespodzianie i w tak niezwykły sposób, przeszkodzili mi wykonywać moje obowiązki. Ów nędznik zasłużył na taką karę. Z umysłu bowiem strzaskał rękę w cukrowarni dzisiaj, byle tylko w tej fabryce dłużej nie pracować, a tu......

"Potworze ludzki!" przerwał Emeryk, wrząc cały od gniewu "i ty to odważyłeś się tego rannego, który cały dzień wił się w boleściach, jeszcze wieczór aż do krwi katować? Miłosiorny Boże, jak mogłeś ścierpieć taką straszną zbrodnię, dla czego piorunem niezabijesz tego niegodziwca? Precz potworze, precz, bo gotowym jeszcze zapomnąć się i kazać ci na twoim własnym grzbiecie tę samą karę wymierzyć, jaką katowałeś nieszczęśliwego murzyna!"

Po tych słowach raz jeszcze spojrzał dozorca wzrokiem dzikim na oburzonego młodzieńca zamruczał kilka słów niezrozumiałych i zniknął w ciemnościach. Emeryk zaś pochylił się nad skatowanym, pochwycił zdrową jego prawą rękę i uściskał z prawdziwem współczuciem.

"Uspokój się nieszczęśliwy" przemówił jak najczulej "uspokój, ten niecnota będzie musiał w przyszłości inaczej obchodzić się z tobą, w przeciwnym bowiem razie ma ze mną do czynienia. Odnieście go chłopcy do mieszkania! Ja sam będę cię pielęgnować, a lekarz mojego wuja będzie leczył twe rany."

Murzyni słysząc w ten sposób przemawiającego białego młodzieńca, nie posiadali

się z radości a ów nieszczęśliwy, skatowany murzyn zebrawszy resztki sił, uścisnął rękę Emeryka i spojrzał na niego wzrokiem, który więcej mówił, jak tysiące słów podzięki. Chciał następnie rzucić się do nóg szlachetnego młodzieńca, ból jednak i zbytnia utrata krwi niedozwoliły mu tego uczynić, zachwiał się bowiem, jęknął i pochylił w ramiona swoich czarnych braci.

"Odnieście go co prędzej! zawołał Emeryk a jeżeli który z was zna jakiego lekarza w pobliżu, niechaj go sprowadzi. Tylko prędko, nigdzie bowiem lekarz nie jest bardziej potrzebnym, jak w chacie tego bienego, skatowanego chłopca."

Silniejsi więc podzwignęli zemdlałego, aby go do chaty zanieść, inni zaś mieli się już rozbiedz, aby coprędzej lekarza sprowadzić, gdy w tem oto zbliżyła się stara murzynka, którą datychczas w oddali ciemności osłaniały, a zawracając rozbiegających się wyciągnęła z kieszeni ubożuchnego swego ubrania niewielką puszkę z drzewa czerwonego.

"Wszyscy zostaną tutaj!" przemówiła zepsutym językiem holenderskim. "Stara Giga ma medycynę, lepszą jak maść od lekarza. Herkules jutro zdrów!"
Głuchy szmer powstał w tej chwili pomiędzy niewolnikami; z uszanowaniem poczęli się rozstępywać i usuwać z drogi, ułatwiając starej murzynce przystęp do Herkulesa, która chromiąc dowlokłszy się w końcu, otworzyła czerwoną drewnianą puszkę i płynem jakimś bezbarwnym posmarowała rany chorego. Herkules drgnął i skurczył się, za chwilkę jednak uśmiechnął się i rozwarł powieki. Pierwsze spojrzenie padło na Emeryka, który stał tuż przy boku jego, obserwując z całą pilnością i prawdziwem wspułczuciem swego protegowanego.

"O Massa!" przemówił, całując ręce młodzieńca. "Herkules już twoim na zawsze ciałem i duszą. Herkules za młodego, dobrego Massę dałby się poszarpać lwom i panterom. Herkules nigdy nie zapomnie co Massa czyni dla biednych niewolników!"

"Uspokój się przyjacielu!" odpowiedział Emeryk, z uśmieahem. "Wszystko to nie warte i wspomnienia, to co dla ciebie uczyniłbym i dla każdego innego, a nawet i dla tej oto starej, czarnej mateczki. Lecz czas już rozejść się chłopcy! Chory potrzebuje spoczynku, ja zaś chciałbym jeszcze dzisiaj słów bodaj kilka pomówić z wujem, ażeby ponowie nie wydarzyło się coś w tym rodzaju, jak ten dzisiejszy wypadek, a na co z oburzeniem tylko i wstrętem patrzałem. Słuchajcie chłopcy, jeżeliby dozorca kiedykolwiek znowu niemiłosiernie miał się z wami obchodzić, udajcie się do mnie. Dopóki tylko będę mógł odwracać od was mściwą dłoń dozorcy, wierzajcie mi, nikomu z was krzywda wyrządzoną nie zostanie. Dobra noc!"

Już zawracał Emeryk ku domowi, gdy stara Giga pochwyciła go za rąbek sukni i zatrzymała, nalegając i prosząc, aby jej swą dłoń pokazał. Śmiejąc się, przystał w końcu Emeryk, a stara Giga przy migającym świetle pochodni długo przypatrywała się krzyżującym w różnych kierunkach liniom na białej ręce młodzieńca.

"Wszystko bardzo dobrze mówiła po długim namyśle, kiwając głową. "Serce dobre, ręka dobra i skoro do pomocy biednym ludziom, tylko tu ciemna jakaś plamka, tu pośrodku tej linii, która długość życia oznacza. Strzedz się trzeba przed białym człowiekiem, czarny żaden nie jest niebezpieczny dla młodego Massy. Biały człowiek ma złe zamiary! Giga radzi: mieć się na baczności!"

"Dziękuję za przestrogę, mateczko," odpowiedział śmiejąc się odważny młodzieniec. Mniejsza oto, czy plamka czarną, czy białą; w każdym razie gdyby mi jakiekolwiek niebezpieczeństwo groziło, bronić się będę, najlepszym jednak naszym obrońcą to ten, który tam mieszka w górze, wniebiesiech: wszelkie napaści i wszelkie zdrady mocen jest zniweczyć. Dobrej nocy, życzę wam chłopcy, tobie zaś biedny Herkulesie jak najrychlejszego wyzdrowienia!"

Żegnany okrzykami radości przez niewolników odszedł Emeryk do pałacu. Jakkolwiek noc była ciemna, bez wielkich trudności jednak odszukał przy bladych światełkach gwiazd drogę, którą tutaj przybiegł, a niebawem w oddaleniu niewielkiem ukazał mu się i pałac.

(Ciąg dalszy nastąpi).

UFNOŚĆ BEZ GRANIC.

PRZYSŁOWIE DRAMATYCZNE W JEDNYM AKCIE.

— NAPISAŁ —

LEON KAPLIŃSKI.

(Ciąg dalszy).

Anna. Rodryg.

(Rodryg z kapeluszem pod pachą i z wielkim bukietem w ręku. Widać człowieka zmieszanego i nieśmiałego, który sili się na pewność siebie i na sztuczną odwagę.)

Rodryg *(kłaniają się).*

C'est moi Comtesse.... to ja.... śmiem się pojawić.... przepraszam.

Anna.

To bardzo grzecznie i łaskawie ze strony pana. Proszę siadać. Ach, co za przepyszny bukiet!

Rodryg *(wręczając bukiet).*

Czy Pani przyjąć go zechce?

(Anna bukiet odbiera i ukłonem głowy zań dziękuję).

Rodryg.

Zapewne Pani przypomnieć sobie raczy zakład, jaki do niej wczoraj przegrałem. Aby się uiścić z przegranej, miałem do wyboru, albo cukierki, albo kwiaty. Wahałem się chwilę, ale przypomniawszy sobie dzisiejszy wieczór, pomyślałem, że jeśli Pani przyjmiesz te biedne kwiaty.... jeśli je podczas tego wieczoru w ręku twem ujrzę, to będzie dla mnie.... ach!...

Anna *(przerywając).*

Lubię bardzo cukierki, ale za kwiatami przepadam, a ile razy te słodkie lub woniejące trofea zbierać mi się zdarzy, to nam na myśli angielskiego poetę, który utrzymuje, że w hierarchii społecznej my kobiety zajmujemy miejsce właśnie między cukierkami a kwiatamy. Jesteśmy prawie tak powabne jak kwiaty. Ta definicya zresztą nie wydaje mi się bardziej upokarzającą od tylu innych jakie na nas wymyślono.

Rodryg.

Ach, Pani, ja na taką definicyę nigdybym nie przystał. Mnie wydaje się ona prostem bluźnierstwem i oburza mnie w najgłębszych tajnikach duszy.

Anna.

O! bo Pan musisz mieć lepsze o kobietach, pojęcie, to zaraz widać..., Czy dawno jak Pan widziałeś Panią Kasztelono.

Rodryg *(jak gdyby ostatniego pytania nie słyszał).*

To jest ja wogóle o kobietach żadnego nie mam pojęcia; bo dla mnie, śmiem powiedzieć, jedna tylko w świecie istnieje kobieta, a ta kobieta w hierarchi istot tak wysoko jest umieszczona, że zaledwie się ważę wznieść do niej biedną myśl moją.... *(Anna która trzymała bukiet w ręku, kładzie go obok siebie)* ....a jednak ta myśl wciąż za nią goni, oderwać się nie da.... czuję, że jestem jej sługą, jej rzeczą, jej niewolnikiem na wieczność całą....

Anna *(do siebie).*

Hm, hm.... Rodrigue a du coeur.

Rodryg *(Zapalając się coraz bardziej)*

Życiebym wolał stracić, jak ją obrazić, ale daremno ze sobą walczę. Jest jakaś si-

ła tajemna co mnie popycha do nóg tej kobiety i głos się z piersi wyrywa błagalny.... O! Pani pozwól mi ubóstwiać ciebie.

Anna *(która podczas ostatnich słów powstała z siedzenia).*

Wygrany wczoraj zakład pozwolił mi ze spokojnem sumieniem przyjąć pański bukiet. Pan chcesz do tego już i tak wspaniałego bukietu, dodać coś, co się podobno w języku romansowym deklaracyą zowie.... Uprzedzam Pana, że przyjąć ten zbytkowy dodatek bynajmniej się nie czuję obowiązaną...

Rodryg.

Ach, Pani, przysięgam, że nie chciałem wystąpić z tych granic, w jakich najgłębsza cześć jaką mam dla Pani trzymać mnie zawsze będzie Jeźli miałem nieszczęście obrazić lub rozgniewać....

Anna.

Nie umiem powiedzieć czyś mnie Pan obraził, nie zdaje mi się przecież byś mnie Pan rozgniewał. Dla zakończenie całej sprawy powiem Panu rzecz jedną. Oto przed kilku chwilami człowiek dla którego mam najgłębsze przywiązanie i najwyższy szacunek — mogę go Panu wymienić, bo to mój mąż, otóż przed chwilą mój mąż utrzymywał mi, że tylko kobietom zalotnym i płochym trafie się posłyszeć to, czegom ja o mało że nie posłyszała. Twierdził on dalej, że kobieta przyzwoita ma coś w obejściu i zachowaniu się całem takiego, co uniepodabnia pewne ze strony panów manifestacye. Więc teraz nie wiem co mam pomyśleć. Uważam się za kobietę przyzwoitą a nawet dość uczciwą.... byłam dla Pana zawsze przyjazną, to prawda, ale nigdy ośmielającą....

Rodryg *(wzdychając z głębi piersi).*

O Pani!...

Anna.

....I oto Pan, który przecież za honorowego i przyzwoitego człowieka uchodzisz, popełniłeś przedemną ni ztąd ni z owąd dość wyraźną i wcale ognistą deklaracyę.

Rodryg.

Ach Pani, zlituj się nademną, straciłem zupełnie głowę, nie byłem panem siebie....

Anna.

To małe, chociaż nie zupełnie niewinnie.... przedstawienie jakie pan zaimprowizowałeś tutaj, daje mi gotowy argument przeciw mojemu mężowi i nie wiem czy wytrzymam, aby mu nie odpowiedzieć całego wydarzenia.... ma się rozumieć bezimiennie.

Rodryg *(zrywa się; jakby chciał odchodzić).*

Pani jesteś bez litości i zabijasz mnie tym tonem szyderstwa i pogardy.

Anna.

Na dowód że z Pana nie szydzę, nie gardzę i że owszem chcę z panem zachować przyjazne i towarzyskie jak dawniej stosunki, pozwolę sobie dać Panu małe zlecenie. Pojedziesz Pan zaraz na wieczór do Dziedzickich — znajdziesz Pan tam Ciocię Kasztelanowę, która na mnie czeka, powiesz jej, żeś był u nas, że ja już byłam na wieczór wybraną, ale że mąż mój niezupełnie dobrze, się czuje, a choć niema najmniejszego powodu do niepokoju, ja w takich razach wolę przy nim pozostać. Powiesz Pan to wszystko Kasztelanowej, z prośbą, aby mnie przed gospodynią domu wytłumaczyła. Nieprawda, że Pan to dla mnie uczynisz? (*Rodry się kłania*). Ale mój dobry Panie Rodrygu, nie popadnij Pan w recydywę, bo na recydywę byłabym bez litości i musiałabym się pogniewać na dobre. Zastanów się Pan nieco. Spotykamy się najmniej pięć razy na tydzień w towarzystwie — znany się od lat tylu.... pomyśl Pan tylko, jakby to było śmiesznie i nieprzyjemnie, gdybyśmy się dąsać na siebie mieli....

Rodryg.

Pani jesteś aniołem (*klęka*) pozwól mi na klęczkach błagać o twe przebaczenie, pozwól mi u nóg twoich....

Anna *(żywo).*

O zlituj się Pan.... proszę wstać zaraz, nie mogę znieść widoku klęczącego mężczyzny....

(Ciąg dalszy nastąpi.)